

Adela Kanarek

ul. Tuwima 4m5.

BIALYSTOK



Nazywam się Adela Kanarek. Urodziłam się w Wasilkowie w 1906. Jestem córką Jana i Marii. Mama była z domu Sienkiewicz i pochodziła z Wasilkowa. Ojciec mój był adwokatem, ale jeszcze w czasach carskich. Natomiast matka była gospodynią domową. Kiedy miałam dwanaście lat, poumierali moi rodzice. To wówczas tułałam się: to u znajomych Żydów to w innych miejscach. Pracowałam też, bo to był trudny czas i trzeba było starać się o kawałek chleba.

W tej sytuacji poszłam na wieś. Na wsi byłam ze trzy chyba lata. A może i cztery nawet. Już teraz nie pamiętam. Wówczas do moich braci, którzy mieszkali wtedy w Wasilkowie znajomi i sąsiedzi zaczęli mówić: jak to jest możliwe, żeby wasza siostra tułała^o po wsiach u obcych ludzi. Czy nie może być tu i pracować w Fabryce?

Moi bracia ulegli presji środowiska i sprowadzili mnie do Wasilkowa. Tu podjęłam pracę w fabryce Łackiego. Na początku nie mogłam pracować przy maszynie, bo jeszcze młoda byłam. Zatrudniono mnie przy jakichś pracach pomocniczych. Dano mi do przebierania jakieś cewki. Ale już mówiło się, że pracuję w fabryce u Łackiego.

Później przeszłam do fabryki Bareckiego do Trylinga. Tu już pracowałam przy maszynie. Byłam tu już jako pełnowartościowy pracownik, nie pomocnik.

Po kilku latach poznałam swojego późniejszego męża, Kanarka. Franciszka, który pochodził z Bydgoszczy. Żyliśmy ze sobą wiele lat. Miałam z nim czterech synów. Z tych czterech synów dwóch już nie żyje. W czasie wojny byli w partyzantce. Kiedy wojna się skończyła, wyszli z lasu. Ale organizmy mieli bardzo wycieńczone i mocno nadszarpnięte zdrowie i poumierali. Ich żony są tutaj, w Białymstoku. Ich dzieci również tutaj są.

Mój mąż był rzeźnikiem, mieliśmy własny sklep. I myśmy żyli spokojnie. Nawet swojego mieszkania nie zdobyliśmy. Bo czasy były ciężkie. Mój mąż był wywieziony tak jak i ja. Za okupacji niemieckiej sklep nasz funkcjonował w sieci mięsnych sklepów. Tych sklepów było szesnaście. Nasz sklep był przy ulicy Sienkiewicza. Dziś ten dom nie istnieje. Mojego męża zrobiono przełożonym koła rzeźników.

W miarę rozwoju sytuacji Niemcy zaczęli nalegać, żeby mąż podpisał listę przynależności niemieckiej - "volkslistę". Szukali choćby najmniejszego pretekstu; wystarczyło by na przykład, żeby ciotka była Niemką, to już by dobrze było. Tu było trochę znajomych, którzy go do tego skłonili i on tę listę podpisał.

No i tak to trwało do końca okupacji niemieckiej, to znaczy do roku 1944-go.

Najpierw, w październiku 1944-go roku aresztowano syna i ojca. Po aresztowaniu ich wywieziono. A później, w listopadzie, aresztowano mnie. Zanim bowiem moi synowie /dwaj/ byli w partyzantce, to mnie nie ruszano. Moi synowie szli przed cofającym się frontem niemiecko-sowieckim. Tak cofając się razem z frontem doszli w okolice Warszawy, chyba do miejscowości Łąbki. Front zatrzymał się przed Wisłą. A oni - partyzanci - chcieli iść na pomoc Powstaniu Warszawskiemu. No to ich wszystkich wyłapali. Ale oni zdołali umknąć i znowu poszli do lasu, bo co mieli robić?

Zostałam sama w domu, tylko z małym dzieckiem. Był to syn Józio, który miał sześć lat.

Wówczas przyszedł pan prokurator, jeden, co tutaj został. Nazywał się Jol. Kazał wziąć dziecko, oddać klucze - ja samo mleko parzyłam dziecku - i on kazał mnie dać klucze i wyjść z dzieckiem. I ja wyszłam. A na podwórku stał milicjant, który mnie odebrał z tym dzieckiem. Zaczął mnie prowadzić i zaprowadził mnie do więzienia. A klucze dałam temu prokuratorowi. Adres tego domu był: ulica Sienkiewicza sto dwadzieścia osiem /chyba/. Nie pamiętam. Po tyłu przejściach to już

nie wiem, jaką trzeba mieć pamięć, żeby to wszystko zapamiętać. W więzieniu przebywałam z tym małym dzieckiem, z tym Józiem. On był dwa dni ze mną w więzieniu. On bił nogą w drzwi, że tu dziecko nie może być przecież. A ja go cały czas do tego zachęcałam. Aż przysłała sąsiadka i go wzięła. Ta sąsiadka, która wzięła dziecko ode mnie nazywała się Karpińska.

Tymczasem w więzieniu mnie wyrzucili na drugą stronę i na drugi dzień mnie wywiźli. Zawieźli mnie do Ostaszkowa. Tak więc to moje dziecko zostało na pastwę losu u pani Karpińskiej. Pani Karpińska już nie żyje. Później zlitowali się z Elku, jacyś nasi znajomi. Wzięli go do siebie i on tam u nich był. W tej chwili nazwiska tych znajomych nie pamiętam. I to oni mnie dali znać do Ostaszkowa, że mój Józio u nich jest, w Elku. To była jakaś rodzina wojskowa. Zabrała go żona pułkownika, jakaś pani pułkownikowa.

No, a ja byłam w Ostaszkowie. Nas tam wieźli pociągami. Tak jak już mówiłam, przyszedł milicjant w chwili, gdy ja parzyłam mleko dziecku. Kazał wszystko zostawić i wyjść. Z więzienia do pociągu zawieźli nas samochodami. Były to samochody ciężarowe. Ale dziecko już wcześniej zabrali ode mnie. Wagony były takie jak dla bydła, liczne wagony, bo było nas sporo. Nas do tych wagonów załadowali i wieźli.

Zawieźli nas wreszcie do Ostaszkowa. A w Ostaszkowie był już mąż z synem. Oni już tam byli zagospodarowani. I wtedy ja przyjechałam. Oni przyjechali pierwszym transportem a|ia| drugim.

W Ostaszkowie, jeśli dobrze pamiętam - byliśmy trzy i pół roku. A w Ostaszkowie, to jak to w łagrze:

- Kochana chleborezko,
- Ty uczyn jakiś cud
- I wydaj więcej chleba,
- Nakarm zgłodniały lud
- bo sześćset gramowa pajka,
- za mało żeby żyć,

- za dużo żeby umrzeć,
- jak długo ma tak być?

Takie piosenki nam po łagrze pozostały. No i razem żeśmy byli. To już nam było nieźle. Bo i syn był i mąż był. Było nam różnie. Mąż był tam kucharzem a mnie kobiety zrobiły mnie nad nimi taką matką. To tam wiele znaczyło, bo ja tam bliżej byłam stoła. Bo ja już tam wszystko załatwiałam, co trzeba. Między innymi i tę chleborezkę. I tak życie płynęło.

Młodzi, którzy byli w obozie, chodzili na kołchozy. Ale to dopiero na wiosnę, gdy już naprawdę trzeba było. Zimą porą, to nie. Zimą porą to siedzieli jak małpki. Podobnie było na jesieni. Też tam chodzili i pracowali. Kobiety też chodziły do pracy w polu, ale też zbierały gałązki krzewów, aby mieć czym palić w piecu.

Jedzenie było bardzo niedobre. Dawano nam takiej warlugi/zupy/. A czego tam nie było? Była i pokrzywa i obierzyny. Pokrzywa, to jeszcze pół biedy. Ale jak obierzyny były? To wyciśniesz trochę, wyplujesz, a sok połkniesz.

Syn miał wówczas szesnaście lat. Syn był w obozie męskim, a ja byłam w części żeńskiej. No i oczywiście mąż był.

Z obozu w Ostaszkowie mnie przewieziono do innego obozu w Riazaniu. Ale już tam było lepiej. Tu było już lepsze jedzenie, tu już jakaś kultura była, tu już jakiś sklep mogliśmy zrobić czy coś takiego. Z Riazania wróciłam do domu. Wróciłam do domu w listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Jak syn opowiadał - pierwszym czy drugim transportem. Ja i mąż mamy dokumenty wystawione przez PUR w Białej Podlaskiej a syn przez PUR w Białymstoku. Z Białej Podlaskiej trafiliśmy najprawdopodobniej do Lublina.

Ciężkie to było to moje życie. Matka mnie zostawiła, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

Po powrocie zostałam w zachodniej Polsce. Najpierw pracowałam

w fabryce w Złocińcu koło Szczecinka. Później wzięli mnie do sklepu mięsnego.

Bezpośrednio po powrocie z Rosji ja wróciłam do Wasilkowa do brata. W tym czasie drugi brat pracował już w Złocińcu. I ten brat zabrał mnie do Złocińca. Tam była fabryka sukienna.

Ja to mam takie wredne szczęście: zawsze mnie gdzieś ~~mnie~~ wybio-
ra. Gdy zajechaliśmy do Ostaszkowa, to zaraz mnie okrzyknięto, że bę-
dę ich matką i że ich dopatrzę.

W Ostaszkowie dużo pracowaliśmy przy torfie. Trzeba było czymś ~~na~~
palić. A dziewczynki takie młode były: z Suwałk, z Wasilkowa jedna by-
ła. Dziewczyna z Wasilkowa nazywała się Krzywiec Janina. Była też
z Białegostoku pani Mińkowska z córką. Mieszkała przy ulicy Armii
Radzieckiej/?. Nie wiem, czy ona żyje. Bo kontaktu z nią nie utrzy-
muję. Jasię Krzywiec to widziałam nawet nie tak dawno. Ona pewnie
już nie Krzywiec, bo to było jej nazwisko z domu.

Mój mąż zmarł w 1970-tym roku. On był bardzo zniszczony. Bo ja, to
jestem tutejsza, byłam więcej zahartowana. A on z Bydgoszczy. To on
taki "poznaniak", był taki delikatniejszy. Urodzony był w Inowrocław-
wiu, a mieszkał w Bydgoszczy.

Jednego syna córka /tego, który był w partyzantce/ wyszła za mąż
i jest w Lublinie. Dzieci drugiego syna są w Toruniu. I tak jesteśmy
porozrzucani po całym świecie.

No, a ja cały czas siedzę tutaj, na miejscu. Tu poznałam ~~xx~~ swoje-
go obecnego męża. Pochodzi on ze wschodu. Tamten mąż to więcej mówił
po niemiecku.

Mam zaliczone dwadzieścia siedem lat pracy. Ale nie mam dodatku,
który przysługuje ludziom po zakończeniu osiemdziesięciu lat życia.
Stało się tak dlatego, że nie mam wymaganej ilości lat przepracowa-
nych w Polsce Ludowej. Ja pracowałam w fabryce w Złocińcu, na zacho-
dzie. Bo cóż ja tutaj wówczas mogłam robić?

W obozach, w których byłam, nie prześladowano Polaków za sam fakt, że byli Polakami. Karano wtedy, gdy ktoś coś przewinił. Gdy dwóch uciekało, to od razu, tak jak psów: nastąpił nogą i z pistoletu w głowę zabił. Dokonał tego Sowiec, którego powszechnie w obozie nazywano "Cap-Carap". On ich osobiście postrzelał. Tych, którzy uciekali, złapano gdzieś pod Smoleńskiem.

A tak nas nie prześladowano. Tylko, że do pracy chodziliśmy. Wszyscy młodzi chodzili do pracy. Tworzono różne brygady: układali torf, kopali kartofle. Lepiej było kopać kartofle, bo chociaż mogli ponabierać do kieszeni. Bo przecież należy pamiętać, że głód był. Bo cóż to było sześćsetgramowa "pajka"? A chleb był ciężki. Cóż to było młodej dziewczynie. To gdy pójdzie kopać, to przynajmniej kartofelek nabierze. Przyniesie ~~do~~^w kieszeni i w obozie w jakiejś manerze sobie ugotuje.

Kiedys poszła brygada zbierać marchew. Pole należało do jakiegoś chyba sowchozu, ale zarządzał tym polem taki sam plenny, jak i my. I on, Francuz chyba jakiś - udał, że ponabierali w kieszenie. Bo oni w spodniach byli i ponabierali marchwii. No, ale przecież za co oni pracowali cały dzień? Przecież nikt im za to nie zapłacił. To oni chociaż tej marchwi nabrali. No i zawołali mnie do komendantury. A ja nad nimi byłam starsza. Bo jakaś jedna starsza musiała być, żeby załatwiać jakieś formalności. No to poszłam, wezwana, do komendantury. A w komendanturze pracowali też i tacy Sowieci, którzy byli tak samo biedni jak i my. Jeden z nich mruga do mnie i mówi: smatri, skolko marchowki niesut. A ja tak wyszłam i ni z tego ni z owego powiedziałam: czot wy, s uma soszli? Niet nikakój marchowki. Otkrywaj dwier i puskaj. Nie trimaj gałodnych ludiej. /co wy, zwariowaliście? Tu nie ma żadnej marchwi. Otwieraj bramę i nie trzymaj głodnych ludzi/. On uśmiechnął się i otworzył bramę. Bo przy bramie stał też taki fajny Sowiec. I wpuścił, chociaż oni mieli pełne kieszenie tej marchwii.

Tym się ratowali, bo jedzenie to było straszne. Na śniadanie dawano sześćset, a pracujący osiemset gramów chleba. Był to już przydział na cały dzień. Żadnych dań tam nie było, tylko bałanda, nagotowana z otręb czy z czegoś, jakaś bałanda. Często była gotowana z obierzyn. Pamiętam, że te obierzyny przeciskałam przez zęby a sosek zjadałam. I chleb. I tak było. Przecież oni sami /Rosjanie/ też byli głodni.

Dopiero później ktoś zlitował się, to otrzymywaliśmy troszkę amerykańskiej tuszonki.

W obozie byli też i NKWD-yści, których nie mogę oskarżać. Lekarz też był Sowiec, taki Danilin. A Żurawlow to był stareńki.

W obozie panował przez jakiś czas tyfus. Tam wielu ludzi z tego powodu zostało na zawsze. Tam został między innymi oficer polski Adolf Gaworowski. On pochodził z Białegostoku. Mieszkał tu gdzieś na ulicy Mazowieckiej. Jego żona wróciła, a on tam został.

Była też z nami Sowiec, ruska nauczycielka. Ją wzięli stąd, z Polski. Ona napisała list mój, po rosyjsku, do Moskwy. Już za trzy dni przyjechała kobieta doktor. Zawołała mnie i pyta: jak tu jest, jakie warunki i o takie podobne sprawy. Iszukaliśmy mojego syna, o którym było wiadomo, że jest chory. A ją oprowadzał taki sanitariusz, który pochodził z Bielka. Oprowadzając powiedział: o, jemu tu charaszo, bo i jego matka tu jest. A doktor na to: jeśli matka odda mu swoje jedzenie, to sama umrze. I nakazano, aby synowi dawać takie jedzenie, jakie otrzymuje rosyjska obsługa obozu. Gdy dostał taki maleńki kawałek mięsa - brakowało tylko fotografa - to biegł przez pół obozu wołając: Mamusiu, mięso.

Obecnie wyrósł z niego tęgi mężczyzna. Mój drugi syn - Józio - też jest dobrym synem i pracownikiem. Pracuje w zakładach drobiarskich przy ulicy Hetmańskiej. Jest tam głównym mechanikiem.

Jednym słowem: ten tylko winien, co nas wywiózł. To był prokurator Jol. On zabrał klucze, a mnie z dzieckiem wyrzucił na ulicę. Z tym

dzieckiem trafiłam do więzienia, a następnie - już bez dziecka - pojechałam do Ostaszkowa.

W obozie nie zabraniano praktyk religijnych. Tam był nawet ksiądz. Ten ksiądz jest nawet tutaj, bo niedawno miał zebranie, na którym byłam. Jest to ksiądz starszek, nazwiska jego nie pamiętam. On jest obecnie przy kościele św. Wojciecha. Modlitwy odbywały się pod sosną, na której zawieszano, kto co miał, na przykład jakiś obrazek. I wówczas wszyscy wychodzili Polacy - bo byli i Rosjanie - ale wszyscy razem wychodzili, popłakali, pomodlili się, popiszczeli i znowu wracali do baraku. Władze obozowe nie przeszkadzały. W ogóle u nas był bardzo dobry pułkownik - Żurawlow. Był jeszcze chyba carskim oficerem. On był bardzo dobry. Bo trzeba było iść na cmentarz, bo tam już poumierzało sporo i trzeba było założyć cmentarz, to kobieta prosi, a on zezwalał.

Ze sprawą cmentarza to był bardzo przykry incydent. Kiedy do obozu przyjechała grupa czekistów i cały ten cmentarz zaozierała. Kiedyś, już po tym zajściu, poszłam prosić Żurawlowa - jako starsza brygady - aby zezwolił brygadzie wyjść na cmentarz. On powiedział: nie idźcie tam, bo tam się wiele zmieniło. Wam może serce pęknąć. Tak nam odradzał, chociaż nie zabraniał. "Ja nie razreszaju, potomu czto łokniet wam sierdce/. Przyjechała czerezwyczajka i wszystko poniszczyła. Chodziło prawdopodobnie o stojące nad mogiłami krzyże, które na rosyjskiej ziemi stać przecież nie mogą.

Nas w obozie nie bili. Myśmy też nie dawali powodów, posłusznie chodziliśmy do pracy. Kobiety chodziły kartofle kopać, marchówkę. I to nawet chętnie szli. Przy tej okazji do kieszeni sobie nabierali. I to raz w bramie były kłopoty, o których już mówiłam.

W obozie w Ostaszkowie w czasie, kiedy ja tam przebywałam, byli Polacy. Ale wcześniej, przed nami, byli Niemcy. Przed naszym przybyciem ich wywieziono w inne miejsce, gdzieś dalej. A nas później jesz-

cze do Riazania wywieźli. Jak mówiono, tam już niby na lepszy byt. Tam już i lepsza zupa była. Tam już mogliśmy robić kotlety, otrzymywaliśmy jedzenie zagraniczne, jak na przykład amerykańską tuszówkę. Zaczęła napływać pomoc z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. A ja dobrze znałam język rosyjski w mowie, mówiłam swobodnie, byłam pyskanta. Potrafiłam Sowietowi "jobkę" posłać: A czto tiebie? Czto ja prijechała zdies rabotat? Idi k'czortu matier'. Tak im mówiłam. I nic mi nie zrobili.

Tu ponownie piosenka o chleborezce - dodana kolejna zwrotka:

- ✎ gdy wezmę pajkę swą,
- w dwóch dłoniach trzymam ją
- jem i wpatruję się,
- że pajka kończy się.

- A gdy wykończę ją
- nie mogę smutku skryć
- Jak tu bez pajki długo żyć?

- Za pajkę możesz kupić,
- co kupić tylko chcesz
- machorkę, kalesony,
- ‡ i parę butów też.

Weseliliśmy się jak mogliśmy, robiliśmy różne cuda. Nie można powiedzieć, żeby nam zabraniali, nawet modlić się. Tylko jeść nie mogli dać, ale to chyba dlatego, że sami nie mieli. Oficerowie jedli prawie to samo co i my, z tego samego kotła. Tylko później to oni mieli taką "szpychę", to oni mieli już dla siebie. Ale oni też ciężko żyli, ciężko. Bardzo ciężko.

W tymże obozie przed nami byli też i oficerowie polscy. Z nami to było ich jedenastu. Byli: Trzeciński, Kuprowski, My im pomagaliśmy

bo ich tam ostro trzymali. Jeść im mało dawali. Traktowali ich jeszcze gorzej jak nas.

Obóz był za drutami. Stały budki strażnicze. Władze obozowe miały nasze dokumenty, z których doskonale wiedziały, kto, jak mocno i za co został oskarżony. Byli tam ludzie i z policji i w ogóle różni ludzie. Ale większość, a prawie wszyscy byli niewinni to znaczy w tym znaczeniu, że nie występowały przeciw władzy radzieckiej.

Potem nas sądzono, kiedy przyjechało NKWD. Rozprawy odbywały się w ten sposób, że wzywano nas pojedynczo. Odbywało się to w obozie. Wołali pojedynczo. Tam był NKWD-ysta, czasem i dwóch. I pyta, za co mnie wzięli, co ja robiłam. Odpowiedziałam, że za co - to wy wiecie, bo ja nie wiem za co. A za co, to wy możecie mnie powiedzieć. Ale nie bili, rozmawiali grzecznie.

A mój syn, to był - mówiąc po rosyjsku - "żelaznoj", łącznik pomiędzy ruską komendanturą a polską, goniec. Gdy na przykład trzeba było kogoś zawołać. Uważany był za pracującego i tym samym miał już nie sześćset lecz osiemsetgramową pajkę.

Zadnego wyroku nie dostałam. Nic. Uniewinniający. Powiedzieli: pojediesz damoj i wszystko.

Kiedy wróciliśmy do Polski, to znowu był sąd. Gdy wjechaliśmy do Białej Podlaskiej, to tu nas zatrzymano. Tym razem zajęło się nami UB. Pierwszy do Polski przyjechał syn - Franek. Mąż też wrócił do Białegostoku. A mnie zatrzymano w Białej Podlaskiej. Bo jedna osoba napsioczyła, że ja gdzieś tam byłam w tym sensie, że ja byłam w obozie starszą, komendantką. To że znowu pracowałam dla Niemców. Ale oni przytrzymali mnie tam tylko parę dni. Tam było kilka osób w takiej sytuacji. A sprawa wyglądała w ten sposób, że jedna z kucharek /pochodziła z Wasilkowa?/ spółkowała z Sowieciem na stojąco. Kiedy dowiedziałam się, że ona się "puściła", to ją wycofałam z pracy w kuchni. Nie mogłam jej zatrudnić przy garnkach i ją zwolniłam. Właściwie to

mi nakazano, żeby ją zwolnić. Bo nocą przyszedł jakiś Sowiec z administracji Obozowej z wiadomością, że ona z tym Sowietem tam była. I ta właśnie kobieta mnie oskarżyła ze złości w Białej Podlaskiej. Ta kobieta już nie żyje.

Byłam tam przez dwa dni. Gdy syn tu przyjechał, natychmiast poszedł na UB, gdzie wydano mu zaświadczenie z którego wynikało, że jeśli ja okażę się winna, to będę sądzona tu ~~nie~~ w Białej Podlaskiej.

Gdy syn po mnie przyjechał, to ja już i tak byłam zwolniona. A mieli mnie wieść. W Białymstoku mnie sądzono, ale zostałam uniewinniona. Na rozprawie okazało się, że dopomagaliśmy z mężem polskiej ludności. Na rozprawie było dwudziestu świadków. Nawet nie tak dawno przychodził człowiek z podziękowaniem, że go uratowali w czasie okupacji i że mu bardzo pomogli. Bo przecież pewne możliwości mieliśmy. Przecież pracowaliśmy w sklepie rozdzielczym w Białymstoku. Mój mąż był rzeźnikiem. Tu trzeba było ratować ludzi, jeśli taka możliwość istniała. Czyż nie?

Mieliśmy takiego znajomego Niemca, który był zawiadowcą na stacji Białystok Fabryczny. A razem mieszkaliśmy. Był to dobry człowiek. Dzięki niemu wiele spraw dało się "załatwić."

Jeszcze nie tak dawno przychodził z podziękowaniem Franciszek, nazwiska nie pamiętam! Dziękował za uratowanie od śmierci. On pracował w garbarni i został aresztowany. Groziło mu rozstrzelanie. Już go prowadzono na rozstrzał. A teściowa jego ze mną pracowała. I ja pobiegłam do tego Niemca. I tak go w ostatniej chwili ^{uratowano.} ~~aresztowano~~ A drugiego rozstrzelano.

Oj, przesieli mnie więcej niż trzeba. Tylko mi nic nie dali za moją pracę. A przecież trzeba też było wspierać żywnościowo także i partyzantów, którzy przychodzili nocą. I też trzeba było dać. Bywało i tak, że musiałam im to wieźć dorożką, razem z Niemcem, do lasu. Wozilałam im pistolety /siedem czy osiem/, które oni kupili u Niemców. Miałam je dostarczyć aż do lasu za Studziankami. A nie mogłam

że nie, bo przyjdą w nocy i "cykną". Takie to wówczas było prawo. To ja wzięłam Niemca, ale już cynk dałam tam, do partyzantów, że ja przywożę. Ale mówię, że wy uważajcie, bo i ruska partyzantka była. To kazali śpiewać, jak dojadę do lasu. To jak ja już do lasu wjeżdżałam, to zaczynałam śpiewać: "do swodania, do swidanija". Mówiłam Niemcowi, że wiozę samogonkę. Ten Niemiec, to był trochę jakby znajomy. Pochodził z Bydgoszczy, mieszkał koło mojej teściowej. A lubił wypić, oj lubił chłop wypić.

Kiedy wracaliśmy, to on powiedział: jeśli ja zginę, to i wy zginiecie. Natomiast kiedy wjeżdżaliśmy do lasu, to on mówił: "keine angst", co znaczy - Nie mam strachu.

Gdy tylko zajechaliśmy, to natychmiast przybiegli chłopcy /partyzanci/ i natychmiast zabrali to wszystko, cały ten kanister od benzyny z samogoną. Tam w lesie było przecież moich dwóch synów, to czy do matki będą strzelać? A tych dwóch moich synów nie żyją, którzy byli w partyzantce. Jeszcze jeden z tych partyzantów jest. Podaję dla wywiadu: Bychowski w Wasilkowie. Na imię ma zdaje się Romek. On to samo może potwierdzić. On był razem z nimi w partyzantce i to osobiście przeżywał. Wszyscy oni musieli kryć się, musieli chować się za okupacji niemieckiej.

Po wojnie nie miałam kłopotów z władzami. Moi synowie też nie. Jeden z nich był nawet kierownikiem zakładów mięsnych. Bo kiedy wróciliśmy, to podjęliśmy pracę jako rzeźnicy i tak myśmy nadal pracowali. Jemu podpowiadali, żeby on zapisał się do partii. On odpowiedział, że zapisze się dopiero wtedy, gdy mu mama tak powie. I dali mu spokój.

Temu drugiemu synowi to nawet dali deklarację członkowską. On ją wypełnił i położył na biurku. Kiedy sekretarz gdzieś wyszedł, to on ją zabrał. Zwykle mówił: mnie i bez partii dobrze jest. Tylko kiedyś mówił, że jest w wielkiej partii, bo w ZSL-u. Dobry pracownik, dobry Polak. Jemu partia nie była potrzebna. Jest ceniony.

Notował: S. Siarko